…ODZIEŻY SZKOLNEJ 74

H. ANDERSEN

KRÓLOWA ŚNIEGU

OPRACOWAŁA C. NIEWIADOMSKA

WARSZAWA NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW G. GEBETHNER I SPÓŁKA 1908

			Kop.
53.	Sienkiewicz H.	Za chlebem	20
54.	» »	Z pamiętnika nauczyciela poznańskiego	10
55.	» »	Sielanka — Legenda żeglarska	6
56.	Siemieński L.	Portret króla Jana. — Posłowie siewierscy	6
57.	» »	Wieczór u gen. Kopcia. — Wiązanka konwalii	6
58.	Sienkiewicz H.	Orso — Sachem	8
59	Gomulicki W.	Oracz. — Filemon i Baucis. — Nieprzespany sen pani Maciejowej	6
60.	Kosiakiewicz W	Sarna. — Literatura mojej żony. — Nabożeństwo majowe	8
61.	Sewer.	Łusia Burlak	10
62.	»	Wiosna	10
63	»	Dola	8
64.	Dygasiński A.	Co się dzieje w gniazdach	8
65.	Sieroszewski W.	Kulisi	10
66.	» »	W ofierze bogom	8
67.	» »	Bokser (Uang-Ming Tse)	6
68.	Kaczkowski Z.	Bitwa o chorążankę	10
69.	Prus Bol.	Cienie. — Z legend dawnego Egiptu. — W górach	6
70.	Konopnicka M.	Wojciech Zapała	5
71.	» »	W Winiarskim forcie	5
72.	» »	Urbanowa	5
73.	» »	Miłosierdzie gminy	8
74.	Lenartowicz T.	Wybór poezyi	8
75.	Kondratowicz L.	(Wł. Syrokomla). Wybór poezyi	10
76.	» »	Janko Cmentarnik	6
77.	Hoffmanowa Klem.	Dziennik Franciszki Krasińskiej	20
78.	» »	Listy Elżbiety Rzeczyckiej	15
79.	Czerneda M.	(Bierzyński). Niepłakany	6
80.	» »	Kancelista	6
81.	Kraszewski J. I.	Żywot i przygody Imci Pana Józefa z Gozda Hrabi Gozdzkiego — Pan Starosta Kaniowski	10
82.	» »	Jak się dawniej listy pisało	6
83.	» »	Psiarek	6
84.	Wil...wski Ad.	Przykładna kara	6
85.	Chodźko Ign.	Samowar	6
86.	» »	Domek mojego dziadka. — Śmierć mojego dziadka	10
87.	» »	Boruny	
88.	Górski K. M.	Bibliomań	
89.	Lenartowicz T.	Zachwycenie	4
90.	Korzeniowski J.	Karpaccy górale	
91.	Kondratowicz L.	(Wł. Syrokomla). Ułas	8
92.	» »	Kęs chleba	8
93.	» »	Jan Dęboróg	
94.	» »	Trenzlowe — Spowiedź P. Korsaka	10
95.	» »	Wielki czwartek	
96.	Asnyk Adam.	Wybór poezyi	[illegible]
97.	Ujejski K.	Wybór poezyi	[illegible]
98.	Pol Wincenty.	Pieśń o ziemi	
99.	Wasilewski Edm.	Wybór poezyi	
100	Zaleski I. B.	Wybór poezyi	

BIBLJOTECZKA MŁODZIEZY SZKOLNEJ 74

H. ANDERSEN.

KRÓLOWA ŚNIEGU

opr. C. Niewiadomskiej.

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1908

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

I. Czarodziejskie zwierciadło.

Żył sobie niegdyś bardzo złośliwy czarodziej. Całą jego przyjemnością było dokuczać ludziom, czynić źle, ze wszystkiego się wyśmiewać i każdą rzecz przedstawiać z najgorszej strony.

Wymyślił wreszcie i zrobił takie sztuczne zwierciadło, iż wszystkie rzeczy piękne i dobre wyglądały w niem szkaradnie, a nawet śmiesznie, ponieważ były wykrzywione, zamazane, niewyraźne, — zato złe rzeczy widać w niem było doskonale.

Tym sposobem cały świat w tem zwierciadle był brzydki i zły, a nic w nim nie było pięknego. Czarodziej klaskał w dłonie i śmiał się ze swego figla, a źli jego uczniowie porwali zwierciadło i biegali z niem wszędzie, podstawiając je ludziom znienacka przed oczy, i cieszyli się i śmieli, kiedy przerażony człowiek zasłaniał oczy ręką; a potem nieraz sam nie wiedział, który świat jest prawdziwy: czy ten, który ogląda codzień, czy tamten, który ujrzał w zaklętem zwierciadle?

I tacy ludzie byli bardzo nieszczęśliwi, a było ich coraz więcej.

Cieszył się zły czarodziej, ale to mu nie wystarczało. Uczniowie jego postanowili zanieść zwierciadło aż do nieba. Niechże i aniołowie spojrzą w nie choć raz jeden. To byłaby uciecha! A może i sam Pan Bóg — —

I zaczęli lecieć do góry. Bardzo im było trudno, a jeszcze z tak ciężkiem zwierciadłem — zaledwie mogli utrzymać je w rękach... O, daleko do nieba! aż im pot okrył czoło, a ręce drżeć zaczęły. — Wtem trrrach! i ciężkie lustro z takiej wysokości brzdęk aż na ziemię! Naturalnie w mgnieniu oka rozprysnęło się na miljony, miljony drobnych szczątków, na nieskończoną ilość czarodziejskiego pyłku, który rozleciał się na wszystkie strony.

Ale to właśnie było najgorsze nieszczęście!

Zamiast jednego lustra były ich teraz miljony; rozproszyły się wszędzie, a w każdym najmniejszym kawałeczku, choćby drobnym jak ziarnko piasku, widać było świat cały szkaradny, śmieszny, wykrzywiony. Jeżeli taki proszek wpadł komu do oka, to człowiek ten wszystko już widział zmienione i nie mógł dostrzedz koło siebie nic dobrego, nic pięknego! Za to najgorsze rzeczy widział jasno i wyraźnie, więc wszystko złem było dla niego.

Gorzej jeszcze, jeżeli okruszyna lustra wpadła komu do serca. Nieszczęśliwy tracił uczucie: serce jego stawało się kawałkiem

lodu, nikogo kochać nie mógł, wszyscy byli dla niego obcy, obojętni.

Z większych kawałków porobiono szyby, z innych szkła do okularów, a mnóstwo jeszcze krążyło w powietrzu, — wiatr je roznosił wciąż dalej i dalej, i naturalnie, coraz więcej ludzi stawało się nieszczęśliwymi kalekami.

A niegodziwych pyłków ciągle jeszcze pełno, i — zobaczymy, co z tego wynikło.

II. Sąsiedzi.

W pewnem bardzo starem mieście, w bardzo wysokim domu na poddaszu mieszkało dwoje dzieci, każde u swoich rodziców, — był to Jaś i Marysia.

W tem mieście było tyle ludzi, że nie mógł każdy dla siebie mieć osobnego domku, — ani myśleć! — a cóż dopiero myśleć o własnym ogródku? Ale że dobrzy ludzie bardzo lubią kwiaty, więc wszyscy hodowali je w doniczkach. I tym sposobem w każdem prawie oknie był ogródek; — ale najładniej było u Janka i Marysi.

Bo posłuchajcie tylko: W tym wysokim domu na poddaszu każda rodzina miała własną izdebkę z dużem oknem, przez które w lecie można było wyjść na dach, albo — wcale nie schodząc ze schodów — przejść z jednego mieszkania do drugiego. Można tu było

bawić się na płaskim dachu. Gdy Marysia wyjrzała oknem, widziała Jasia w izbie naprzeciwko. Kiedy słonko przygrzało, dzieci wybiegały na dach i bawiły się doskonale, albo siadały na małych stołeczkach i rozmawiały o wszystkiem, co je zajmowało.

Były to bardzo dobre dzieci i kochały się, jak brat i siostra.

Na wiosnę rodzice Jasia i Marysi ustawiali na brzegu dachu długie skrzynie, napełnione ziemią; w nich zasiewali potrzebne warzywa i wiele pięknych kwiatów. Tak więc kawałek dachu przed oknami zamieniał się na śliczny, maleńki ogródek.

Im mocniej dogrzewało złote słonko, tem piękniej było w ogródku na dachu. Zielone festony roślin pokrywały drewniane skrzynie i spadały aż na mur domu; różnobarwne powoje otwierały śliczne kielichy pełne rosy; różowy groszek ciekawie wyglądał na wszystkie strony; aksamitne bratki szeroko otwierały wielkie oczy, a drobne stokrotki uśmiechały się wesoło. Oprócz tego w każdej skrzyni rósł wysoki różany krzaczek, niby drzewko. Na wiosnę stroił się w zielone listki, a już w maju okrywał ślicznemi kwiatami, których woń rozpływała się w powietrzu. Gałązki róż ciekawie zaglądały w okna, szeptały cicho drobnemi listkami i kołysały się lekko pod tchnieniem wietrzyka.

Ślicznie tu było w lecie.

Ale w zimie wszystko znikało. Biały śnieg

pokrywał dachy, a zamknięte okna często zamarzały; — wtedy mróz kładł na nie delikatne białe kwiaty, ale nic przez nie widzieć nie było można. A dzieci chciały się widzieć, chciały ciągle wiedzieć o sobie. Więc rozgrzewały pieniądz miedziany przy piecu i kładły go na szybę. Wtedy wśród białych liści i gałązek tworzył się mały, przezroczysty otwór, w którym zaraz mrugnęło śmiejące się oko Jasia albo Marysi.

— Pójdź tu do nas! — mówiło oko.

— Dobrze, dobrze!

W lecie tak łatwo było przejść z jednego mieszkania do drugiego, ale w zimie musiały dzieci zbiegać na dół i znów wchodzić na schody, tak wysoko! A tam na dole śnieg i wicher!

— Patrz, patrz! białe pszczoły wyleciały z ula — mówiła stara babka, ukazując wnuczce chwiejące się w powietrzu płatki śniegu.

— Pszczoły, pszczoły! — powtarzała wesoło Marysia. — A czy mają swoją królowę?

— Rozumie się, że mają — odpowiadała babka. — Największy z wszystkich płatków, a zawsze tam leci, gdzie śnieg najgęściej pada. Jeśli spadnie na ziemię, wzbija się natychmiast znowu ku ciemnym chmurom i nigdy nie spocznie. Czasem przebiega nocą po ulicach miasta i zagląda do okien, a wtedy wyrastają na nich śnieżne kwiaty i brylantowe liście.

— Tak! tak! widzieliśmy! — zawołały dzieci, zachwycone słowami babki.

— A czy królowa śniegu mogłaby przyjść tutaj? — zapytała Marysia.

— Ach, niechno tylko przyjdzie! — krzyknął Jaś wesoło. — Posadziłbym ją zaraz przy piecu, i roztopiłaby się! Ha, ha, ha!

Babka pogłaskała go lekko po głowie i zaczęła opowiadać co innego.

Raz wieczorem Janek, już nawpół rozebrany, wszedł na krzesło i wyjrzał przez okrągły otwór na zamarzniętej szybie. W powietrzu kołysało się mnóstwo płatków śniegu, a jeden, bardzo duży, uczepił się na brzegu skrzynki kwiatowej, zaczął rosnąć prędko, coraz większy, wyższy, aż stał się cudną panią w długiej białej szacie z cieniutkiego przezroczystego muślinu, obsypanej miljonami śnieżnych gwiazdek. Ciało jej było z przejrzystego lodu, białe i połyskujące, a jednak ona żyła. Patrzała na Jasia i uśmiechała się do niego, a oczy jej jaśniały jak brylanty. Nakoniec skinęła ręką, jakby wzywała go z sobą. Janek przeląkł się bardzo, prędko zeskoczył z krzesła i uciekł w głąb izdebki; ale zdawało mu się, że wielki ptak jakiś przeleciał koło okna.

Nazajutrz dzień był jasny, pogodny i mroźny, — ale wkrótce potem nastąpiła odwilż, wiatr przyniósł wieść wesołą, że wiosna już blizko, słońce dogrzało mocniej, śniegi zniknęły bez śladu, trawa pozieleniała, pączki

zaczęły pękać, przyleciały jaskółki do gniazd przeszłorocznych, — i znowu dzieci siedziały na dachu, w ślicznym, maleńkim wiszącym ogrodzie.

Groszek pachnący spadał w festonach na skrzynie, powoje otwierały śliczne kielichy do słońca, a róże tego roku kwitły bardzo pięknie, i drzewka były niemi obsypane.

Marysia z Jasiem siedzieli pod krzaczkiem i śpiewali razem ulubioną swoją piosenkę.

Co ja kocham na tym świecie?
Złote słonko, cudne kwiecie!
Boże ptaszki śpiewające,
Jasne rosy, w kwiatach drżące,
Błękit nieba i obłoki,
Cały piękny świat szeroki,
I chatynkę pobielaną,
I mateczkę ukochaną! —
Wszystko kocham serca biciem,
A przestanę chyba z życiem.

Razu jednego dzieci siedziały w ogródku i oglądały bardzo ładną książkę z obrazkami, w której były malowane ptaki i zwierzęta. Na wieżowym zegarze zaczęła bić piąta.

— Aj! — zawołał Jaś nagle. — Coś mię ukłuło w serce! Coś mi do oka wpadło!

— Może ukłuł cię kolec róży? — rzekła troskliwie Marysia. — Czekaj, zobaczę, co ci wpadło w oko! Nic — nic niema.

— Pewno już wyleciało — rzekł Jaś niecierpliwie i odsunął się od dziewczynki.

Niestety, nie wyleciało. Był to właśnie drobniutki pyłek stłuczonego zwierciadła czarodzieja; utkwił mu w oku i zmienił świat cały, nie pozwalając widzieć na nim nic pięknego, ani dobrego. A co gorsza, pyłek taki wpadł mu w serce, które nagle stało się zimne i twarde, przestało czuć i kochać.

— Czegóż beczysz? — zapytał opryskliwie. — Żebyś wiedziała, jaka jesteś brzydka! A jaka śmieszna, ha, ha, ha! — Cóż to za zgniła róża? pfe! — i ta szkaradna! Cała ta skrzynia stare, brzydkie pudło, tylko ją zrzucić z dachu.

Kopnął skrzynię, zerwał różę i rozdeptał.

— Jasiu! — zawołała z przestrachem dziewczynka.

Widząc jej przerażenie, rozśmiał się szkaradnie, zerwał jeszcze jedną różę, rzucił ją i wskoczył do swojego okna.

Od tej chwili Janek zmienił się zupełnie. Kiedy Marysia chciała oglądać z nim obrazki, ruszał ramionami, mówił, że są brzydkie, i wyśmiewał się z każdego. Wkońcu powiedział, że nie chce się z nią bawić, bo jest głupia, jak małe dziecko. Nawet bajki babuni nie podobały mu się, mówił, że są niedorzeczne, zawsze miał jakieś: ale. Nieraz stawał za staruszką, kładł na nos jej okulary i naśladował jej miny i słowa. Tak samo zaczął naśladować innych i nauczył się wkrótce najbrzydszych grymasów i wykrzywiań.

W gruncie rzeczy Jaś nic temu nie był

winien, tylko szkaradny pyłek szkła czarodziejskiego, które tkwiło mu w sercu. Z tego to powodu nikogo nie kochał i dokuczał Marysi, która była dla niego taka dobra. Ludzie zaczęli mówić, że Janek jest złym chłopcem, i mieli zupełną słuszność, tylko nie wiedzieli, dlaczego jest taki.

Razu jednego w zimie, gdy śnieg padał, przyniósł na podwórze szkło powiększające i przez nie patrzał na gwiazdki śniegowe, które pokrywały mu ubranie.

— Spojrzyj, Marysiu — rzekł — jakie ogromne! Niby kwiaty, niby gwiazdy, a jakie sztuczne! To ciekawsze przecież od kwiatów prawdziwych! — tak równo, doskonale ułożone. Szkoda tylko, że topnieją.

Nagle pobiegł na górę, przyniósł swoje saneczki i ciepłe rękawice, oznajmił Marysi, że idzie pojeździć saneczkami po rynku i natychmiast zniknął za bramą.

Na rynku była wesoła zabawa. Chłopcy ślizgali się po śniegu w swoich sankach, a najśmielsi przywiązywali je do sań wieśniaków i jechali tym sposobem spory kawałek drogi. A co przytem śmiechu i wrzawy!

Wtem wjechały na rynek duże białe sanie, zaprzężone białymi końmi. Osoba, siedząca w saniach, otulona była w ogromne białe futro, a na głowie miała białą futrzaną czapkę. Sanie dwa razy objechały rynek, a tymczasem udało się Jankowi przywiązać do nich z tyłu swoje małe saneczki. Teraz

pomknął jak strzała po utartej drodze i wyjechał za miasto. Osoba w sankach odwróciła głowę i przyjaźnie uśmiechnęła się do niego.

Janek doznawał wielkiej przyjemności, bo nigdy jeszcze nie jechał tak prędko; nie chciał jednak zanadto oddalić się od miasta i po niejakim czasie pragnął odwiązać swoje sanki. Wtedy osoba w saniach odwróciła się znowu i spojrzała tak przyjaźnie, że Jaś zapomniał o wszystkiem.

I tak się powtórzyło parę razy.

Śnieg zaczął padać gęsty, pociemniało, Janek nie widział już nic dookoła prócz kręcących się białych płatków. Puścił sznurek, aby odczepić swoje sanki, ale one jakgdyby przymarzły do wielkich, mknęły jak wiatr za niemi dalej, dalej, dalej! Janek krzyknął przerażony, ale nikt mu nie odpowiedział, jakby go nikt nie słyszał. Sanki pędziły ciągle, a śnieg sypał, nic już widać nie było. Chwilami uderzały się o coś gwałtownie, to znów spadały na dół, przeskakiwały jakieś nieznane przeszkody i sunęły po białej drodze w świat nieznany.

Janek chciał się przeżegnać, zmówić pacierz, lecz w żaden sposób przypomnieć sobie nie mógł słów Ojcze nasz, i przychodziła mu na myśl tylko tabliczka mnożenia.

Płatki śniegu padały coraz większe, wyglądały nakoniec niby białe ptaki. Zdawało mu się, że dokoła niego biegną gołębie, kury, gęsi, — całym tłumem.

Naraz konie stanęły, sanie się zatrzymały, a siedząca w nich osoba podniosła się, i Jaś spostrzegł, że futro i czapka jej były ze śniegu. Była to wysoka dama, wysmukła, olśniewającej białości: królowa śniegu!

— Dobrze jedziemy! — rzekła — ale poco masz tam marznąć? Chodź pod moje niedźwiedzie.

Posadziła go w saniach obok siebie, nakryła białem futrem, a jemu się zdawało, że zapada w górę śnieżną.

— Jeszcze ci zimno? — rzekła i pocałowała go w czoło.

Huu! jakiż to był zimny pocałunek! Uczuł lód aż w głębi serca, które — jak wiemy — już miał nawpół zlodowaciałe, — przez mgnienie oka zdawało mu się, że umiera, ale to minęło prędko i zrobiło mu się lepiej. Nie czuł już wcale zimna.

— Moje saneczki! moje saneczki! — zawołał z wielką trwogą, aby nie stracić ulubionej zabawki. Więc rzucono sznurek od nich białej kurze, która biegła obok, ciągnąc je za sobą.

Królowa śniegu pochyliła się nad Jankiem i pocałowała go powtórnie, a w tej chwili chłopiec zapomniał o wszystkiem: o rodzicach, domu, babce i Marysi.

Teraz nie bał się wcale pięknej pani, nie wydawała mu się straszna. Opowiadał jej, co umie, o jakich uczył się krajach i miastach,

jak wybornie liczy na pamięć — a ona uśmiechała się do niego.

Wreszcie wzięła go na ręce i wzleciała z nim razem wysoko, wysoko, ku ciemnym chmurom, które szarpał wiatr świszczący.

Przelatywali ponad ciemnemi lasami, nad górami, morzami i lądami. Zimny wicher huczał pod nimi w przepaściach, biały śnieg połyskiwał, wyły wilki głodne, krakały stada czarnych kruków, — a ponad nimi świecił jasny księżyc.

I tak płynęła długa noc zimowa, a gdy nastąpił ranek, Jaś spał u nóg królowej śniegu.

III. W ogródku wróżki.

Jakże smutno i strasznie było biednej Marysi, kiedy wieczorem Janek nie wrócił do domu!

Nikt nie wiedział, gdzie się podział, i co się z nim stało. Chłopcy opowiadali, że jeździł po rynku, a potem swoje saneczki uczepił do wielkich sań, które pomknęły za miasto. — Więcej go nie widziano.

Płakali go rodzice, babka i Marysia, bo myśleli, że z mostu musiał się zsunąć w rzekę i utonął. Marysia płakała gorzko całą zimę.

Wreszcie nadeszła wiosna, zajaśniało piękne słoneczko.

— Jaś nie żyje! — rzekła do niego Marysia.

— Albo to prawda! — odpowiedziało słońce.

Powróciły jaskółki do gniazd zeszłorocznych.

— Jaś nie żyje! — oznajmiła im Marysia.

— Nieprawda! — odpowiedziały jaskółki.

A wtedy i Marysia przestała w to wierzyć.

Włożę czerwone buciki, których Jaś jeszcze nie widział, i pójdę do rzeki zapytać o niego — pomyślała pewnego ranka.

Było bardzo wcześnie, ale wstała zaraz, ubrała się cichutko, żeby nie obudzić babki, włożyła swoje czerwone buciki, leciuchno pocałowała babunię i pobiegła do rzeki.

— Czy to prawda, że zabrałaś mi mojego Jasia? — zapytała niespokojnie. — Oddaj mi go, a dam ci śliczne czerwone buciki.

Zdawało jej się, że fale zaszemrały jakoś dziwnie, jakby się zgadzały na ten układ. Więc co prędzej zdjęła buciki, śliczne, ukochane, czerwone buciki, i rzuciła je w wodę.

Buciki upadły niedaleko, a fala wyniosła je na brzeg z powrotem. Rzeka nie chciała przyjąć tej ofiary, gdyż nie mogła zwrócić jej Janka. Lecz Marysia inaczej to sobie tłumaczyła. Zdawało jej się, że za blizko brzegu wrzuciła trzewiczki i aby je rzucić dalej, weszła do małego czółenka, które kołysało się na wodzie. Poszła na przeciwny koniec łódki

i rzuciła buciki z całej siły, jak tylko mogła najdalej. Tak idąc i poruszając się, mimowolnie kołysała czółenkiem, które nie było przywiązane i zaczęło oddalać się od brzegu. Marysia to spostrzegła i chciała wyskoczyć, lecz była już za daleko, a łódka porwana prądem, szybko płynęła z biegiem wody.

Wtedy Marysia przelękła się bardzo i zaczęła głośno płakać. Ale nikt jej nie słyszał, tylko gromadka wróbli, które nie mogły dopomódz jej w niczem. Biegły jednak wzdłuż brzegu, jakby ją chciały pocieszyć, i wołały bezustannie: Ćwir! ćwir! ćwir! jesteśmy tutaj! Nie bój się! Jesteśmy tutaj!

I Marysia uspokoiła się powoli. Czółenko płynęło z prądem, a ona siedziała cichutko, w samych pończoszkach, i patrzała w wodę. Czerwone trzewiczki płynęły za łódką, lecz nie mogły jej dogonić, ponieważ prąd bardzo szybko ją unosił.

Prześlicznie wyglądały brzegi rzeki: na zielonych, kwiecistych łąkach pasły się stada owiec, krowy poważnie skubały świeżą, soczystą paszę, stare drzewa rozwijały młode listki, wszystko uśmiechało się w blasku słonecznym.

Może mię rzeka zaniesie do Janka — pomyślała Marysia i przestała się smucić. Usiadła na ławeczce i patrzała długo na zielone brzegi, które przesuwały się przed nią. Właśnie ujrzała wielki sad wiśniowy, pełen kwit-

nących drzew, a między niemi malutki domek pod słomianą strzechą [1]), z czerwonemi i niebieskiemi okienkami. Dwóch drewnianych żołnierzy stało przed ganeczkiem z bronią w ręku.

Marysia pomyślała, że to żywi ludzie, i wołała ratunku, ale naturalnie, nikt jej nie odpowiedział. Prąd niósł ją prosto do brzegu, więc zaczęła znów wołać jeszcze głośniej.

Wtem drzwi domku się otworzyły i wyszła z niego zgarbiona staruszka, podpierając się kijkiem i drepcząc ku furtce. Na głowie miała duży słomiany kapelusz, pomalowany w bardzo piękne kwiaty.

— Ach, biedne dziecko! — zawołała stara. — Skądże się wzięłaś na tej bystrej rzece, która cię tak daleko w świat uniosła?

Drepcząc prędko, staruszka zbliżyła się do brzegu, zaczepiła o czółno swoim zakrzywionym kijkiem i przyciągnęła je do lądu. Podała dziewczynce rękę i pomogła jej wyskoczyć na ziemię.

Ach, jak przyjemnie zrobiło się Marysi, gdy znów uczuła pod nogami twardą ziemię! Bała się jednak trochę nieznajomej staruszki.

— Kto jesteś, moje dziecko, i skąd się tu wzięłaś? — pytała znów kobieta, uważnie patrząc na dziewczynkę.

Wtedy Marysia opowiedziała jej wszystko i pytała, czy nie wie nic o Jasiu.

---

[1]) Strzecha — dach słomiany.

Staruszka nie wiedziała, ale była tego zdania, że Jaś może się znaleźć, a tymczasem zaprosiła dziewczynkę do ogródka, pozwoliła jej zrywać kwiaty i jeść wiśnie, żeby tylko nie była smutna.

Potem weszły do domku. Przez wysokie okienka, czerwone, żółte i niebieskie, dziwne światło wpadało do izdebki. Na stole w dużych koszach stały prześliczne wiśnie, i staruszka pozwoliła Marysi jeść, ile tylko zechce.

Wiśnie były wyborne, a Marysia głodna, więc jadła, uśmiechając się z zadowolenia, gdy staruszka złotym grzebieniem czesała jej złote włosy. Czesała je długo, długo, w dziwnym blasku czerwonych i niebieskich szybek, a Marysia zapominała o Janku, babce i rodzicach, bo grzebień był zaczarowany, staruszka ta zaś była wróżką.

— Dawno już mieć pragnęłam taką miłą, dobrą dziewczynkę — mówiła łagodnym głosem — zobaczysz, jak ci u mnie dobrze będzie.

Potem Marysia została w izdebce, a staruszka wyszła sama do ogródka, dotknęła swoim kijkiem każdego krzaczka różanego, i wszystkie natychmiast zapadły się w ziemię. Zrobiła to dlatego, ażeby Marysia na widok róż nie przypomniała sobie Janka.

Teraz dziewczynka wybiegła także do ogródka. Ach, jak tu było ślicznie i przyjemnie! Tyle kwiatów, a każdy inny! tyle barw, blasku, woni. Prawdziwie był to czarodziejski ogród: rosły w nim wszystkie kwiaty, jakie

tylko są na świecie, i wszystkie kwitły jednocześnie. Marysia biegała pomiędzy grządkami, śmiała się i śpiewała, dopóki słońce nie skryło się poza wielką starą wiśnię. Wtedy położyła się spać w czystem łóżeczku, na czerwonej jedwabnej poduszeczce, na której wyhaftowane były piękne, błękitne fijołki. Zasnęła też spokojnie jak królewna, a w nocy śniły jej się sny słodkie i miłe.

Nazajutrz z rana obudziła się wesoło i bawiła się znowu cały dzień w ogródku, wśród najpiękniejszych kwiatów, w ciepłym blasku słońca — i tak upływały dni jeden po drugim.

Marysia znała teraz wszystkie kwiatki, ale chociaż miała ich tutaj tak wiele, ciągle jej się zdawało, że jeszcze jakiegoś brakuje. Tylko nie mogła sobie przypomnieć, którego?

Wtem raz na słomianym kapeluszu wróżki spostrzegła malowaną różę. Zdziwiona i szczęśliwa, zaczęła natychmiast szukać w ogródku kochanego kwiatka: rozglądała się wkoło, pochylała nad grządkami, lecz ani jednej różyczki nie było.

Wówczas gorzko płakać zaczęła. Jej łzy gorące padały na ziemię i przesiąkały przez nią, aż zwilżyły ukryty w tem miejscu krzak róży. I nagle cudny, świeży, okryty wonnem kwieciem wystrzelił znów nad ziemię, a Marysia objęła go rączkami, pieściła i całowala śliczne róże i przypomniała sobie tamten krzaczek, na poddaszu, i przypomniała sobie znowu Janka.

— Och, jakże dawno już tu jestem! — zawołała. — A miałam szukać Jasia. Moje śliczne różyczki, czyż nie wiecie, gdzie on się podział? Czy myślicie, że umarł?

— O, nie! — odparły róże. — Byłyśmy przecie pod ziemią, tam go niema.

— Dziękuję wam — zawołała uszczęśliwiona Marysia i pobiegła do innych kwiatków, aby się czegoś o Jasiu dowiedzieć.

Lecz daremnie pytała. Kwiatki uśmiechały się wszystkie do słońca i śpiewały mu swoje pieśni, i opowiadały mu swoje powieści, które podobały się bardzo dziewczynce, lecz o Janku nie dowiedziała się niczego.

Napróżno je pytam — pomyślała wreszcie — one kochają tylko swoje powieści i pieśni, nie mam tu na co czekać.

Podniosła spódniczkę, aby lepiej biedz mogła, i pospieszyła do furtki.

Ale furtka zamknięta była na klucz. Wtedy zaczęła mocno szarpać klamkę, aż zardzewiały zamek ustąpił pod naciskiem, i drzwi się otworzyły. Marysia wyszła prędko i bosemi nóżkami biegła co tchu po twardej, kamienistej drodze, obawiając się pogoni. Trzy razy obejrzała się za siebie, a nie widząc nikogo, kiedy jej sił zabrakło, usiadła na chwilę na wielkim kamieniu.

Teraz dopiero obejrzała się dokoła: lato minęło dawno, późna jesień była na świecie, powiędły kwiaty i pożółkły łąki, ale w ogro-

dzie wróżki, gdzie kwiaty kwitną wiecznie, nic o tem nie wiedziała.

— O Boże! Boże! ileż ja czasu straciłam—narzekała Marysia.—Oto już późna jesień, trzeba spieszyć bardzo, zanim zima powróci.

I wstała, by iść dalej.

Szła bosemi nóżkami po kamienistej drodze, a dokoła było smutno i ponuro. Czuła wielkie zmęczenie, ale się nie zatrzymywała. Z wierzb przydrożnych spadały długie, żółte liście, lub ciężkie krople chłodnej rosy. Na tarninowych krzakach były jeszcze jagody, ale tak cierpkie, że wykrzywiały usta.

Szaro i smutno było na szerokim świecie, otulonym w szare, ciężkie, ołowiane chmury.

IV. U księżniczki.

Długo tak szła Marysia, wkońcu zmęczyła się bardzo i usiadła znowu pod drzewem. Właśnie pierwszy śnieg pokrył ziemię i bose nożyny dziewczynki poczerwieniały z zimna. Wtem tuż przed nią stanęła duża, szara wrona; popatrzała na nią, pokręciła łebkiem, podleciała w prawo i w lewo i zawołała kra! kra!

Znaczyło to: — Dzień dobry, kochana dziewczynko, musisz być bardzo biedna, kiedy w takie zimno sama idziesz w świat szeroki. Gdzież ty idziesz, dziewczynko? czego szukasz?

Marysia zrozumiała, co chce powiedzieć wrona, i tak jej była wdzięczna za współczucie, tak jej się ciepło zrobiło w serduszku, że natychmiast opowiedziała jej całą historję i spytała zarazem, czy nic nie wie o Janku.

Wrona kręciła łebkiem w zamyśleniu, podlatywała na prawo i lewo i powtarzała jak gdyby do siebie:

— A może? A być może? A kto wie? Kto wie? Kto wie?

— Widziałaś go! — zawołała uszczęśliwiona Marysia i zaczęła całować i ściskać wronę tak gwałtownie, że o mało jej nie udusiła.

— Spokojnie! spokojnie! — powtarzała wrona. — Powiedziałam: kto wie! Może — może! — Ale on dawno zapomniał o tobie. I przytem tak mi trudno mówić twoim językiem. Co innego gdybyś mogła rozmawiać ze mną po wroniemu — wtedybym ci dokładnie opowiedziała wszystko.

— Ach, nie umiem! — z żalem szepnęła Marysia. — Babka umiała dobrze, ale się nie nauczyłam. Czemuż się nie nauczyłam!

— Kra! kra! nic nie szkodzi — rzekła wrona — i tak się rozumiemy. Będę mówić, jak potrafię.

I zaczęła opowiadać:

W tem państwie, gdzie jesteśmy, rządzi bardzo mądra, bardzo mądra księżniczka. Razu jednego przyszło jej do głowy, żeby sobie wybrać męża. Ale chciała takiego męża, któ-

ryby umiał odpowiadać na wszystkie jej pytania, a nie nudnego mruka, co się odezwać nie umie, i tylko udaje pana. — Gdy powiedziała o tem swoim damom dworu, ucieszyły się wszystkie i wychwalały ją za mądry pomysł. Wtedy ogłoszono w gazetach, że każdy młodzieniec, który pragnie ożenić się z księżniczką, może przyjść do pałacu, a jeżeli potrafi odpowiedzieć na jej pytania, może zostać jej mężem.

Oj, żebyś ty wiedziała, co się wtedy działo, jakie tłumy cisnęły się do zamku! Ale cóż, nikomu jakoś się nie wiodło. Na ulicy wszyscy rozmawiali głośno, kłócili się, krzyczeli, obracali językami, jakby mieli za to obiecaną nagrodę, ale ktokolwiek minął zamkowe podwórze, zobaczył straż wspaniałą, postrojoną służbę, wielką tronową salę i piękną księżniczkę, zapominał języka w gębie, stawał jak słup niemy, i zamiast odpowiedzi, powtarzał pytania księżniczki. To naturalnie było bardzo nudne, więc żadnego wybrać nie chciała.

— A Jaś? — przerwała nieśmiało Marysia.

— Otóż właśnie, moja kochana, dwa dni tak upłynęły, aż trzeciego przyszedł pieszo chłopczyk z ogorzałą twarzyczką, długimi włosami, bardzo biednie ubrany.

— To Jaś! — zawołała, klaszcząc w ręce Marysia.

— Na plecach miał tornister — ciągnęła dalej wrona.

— Ach, nie, to pewno były jego sanki. Właśnie z sankami zginął.

— Ha, może sanki — zgodziła się wrona — dobrze się nie przyglądałam. Poszedł śmiało ku schodom, a gdy zobaczył straże, spojrzał zdziwiony i zaraz powiedział: — To musi być okropnie nudno, stać tu ciągle! — Następnie wszedł do sali. Buty jego skrzypiały strasznie, ale widać było, że sobie z tego nic nie robi.

— O, to z pewnością Janek! — krzyknęła Marysia. — Właśnie miał skrzypiące buty, jeszcze nowe, które mu babka kupiła.

— Bardzo być może — potwierdziła wrona. — Szedł do samej księżniczki i nie zmieszał się wcale, chociaż ogromna sala pełna była dworzan, urzędników i dygnitarzy [1]) — każdemu umiał śmiało odpowiedzieć, no, i dostał księżniczkę.

— To już z pewnością Janek — rzekła uszczęśliwiona Marysia. — On był zawsze ogromnie mądry, umiał liczyć na pamięć nawet z ułamkami. O, zaprowadź mię do pałacu!

— Bah! — zakrakała wrona. — Łatwo to powiedzieć. Przecież takiej obdartej i bosej dziewczynki nie wpuszczą do królewskiego pałacu.

— Powiedz tylko Jasiowi, że tu jestem, a sam przyjdzie po mnie natychmiast.

---

[1]) Dygnitarze — wielcy panowie i urzędnicy.

— Zaczekaj tu przy płocie — rzekła wrona i poleciała do pałacu.

Ciemno już było, kiedy powróciła.

— To wszystko na nic — rzekła — boso cię tu nie wpuszczą. Straż i lokaje bardzo zważają na nogi. Ale nie płacz. Poradzimy jakoś na to. Mam w pałacu krewnego, który jest w wielkich łaskach u księżniczki i zna wszystkie zakątki, jak swoje własne gniazdo. On otworzy ci małą furtkę i skrytemi schodkami zaprowadzi prosto do sypialni księstwa.

— O, moja droga wrono! — cicho szepnęła Marysia, idąc do zamku długą cienistą aleją, w której liście spadały z drzew jak krople deszczu. A kiedy w zamku pogaszono światła, weszli przez małą furtkę, tylko przymkniętą zlekka.

Serce Marysi uderzało mocno z niepokoju i szczęścia. Czasem zdawało jej się, że robi coś złego, ale przecież chciała się tylko przekonać, czy to naprawdę Janek. Chyba nie rozgniewa się na nią, ale będzie szczęśliwy, że aż tutaj do niego przyszła, że opowie mu o rodzicach?

Nakoniec weszła z wroną na małe boczne schodki. Na szafie w korytarzu stała nocna lampka, a na pierwszych schodkach krewny wrony, kruk czarnopióry. Marysia ukłoniła mu się, jak umiała.

Kruk uważnie popatrzył na nią i odezwał się wreszcie:

— Pójdę naprzód, a wy za mną. Droga prosta, i nikogo na niej nie spotkamy.

— A mnie się zdaje, że ktoś za nami idzie — powiedziała Marysia i obejrzała się z trwogą. W istocie przesunęło się coś szybko po ścianie, jak gdyby cienie jeźdźców, psów i koni.

— To sny o polowaniu spieszą do księcia pana i księżniczki — uspokoił ją kruk natychmiast.

Mijali szereg przepysznych pokoi, których ściany obite były czerwonym, błękitnym lub żółtym atłasem, sztuczne kwiaty pokrywały je wieńcami, wszędzie lśniły kosztowne sprzęty i klejnoty; wreszcie stanęli w królewskiej sypialni. Tu sufit przypominał piękną koronę palmy o wspaniałych szklanych liściach, a na środku, na grubej łodydze ze złota, wisiały dwa łóżeczka w kształcie lilji: jedno białe, gdzie spoczywała księżniczka, — drugie purpurowe, gdzie może Jaś sypiał.

Marysia pochyliła się nad nim ciekawie i zobaczyła jego opaloną szyję. Ucieszona, krzyknęła głośno, sny natychmiast pomknęły wzdłuż ściany z pokoju, a książę się obudził, podniósł głowę i — to nie był Jaś!

Z drugiej lilji wychyliła się główka księżniczki, która pytała także, co się stało.

Marysia zaczęła płakać i opowiedziała wszystko od początku, nie zapominając o wielkiej przysłudze, jaką oddali jej kruk i wrona.

— Biedne dziecię — rzekła z litością

księżniczka — nie martw się, nie gniewamy się na ciebie, ani na wronę, ani na kruka. Chcę nawet wynagrodzić ich za dobre serce, i odtąd mają prawo przebywania w zamku i otrzymają żywność z naszej kuchni, ale muszą nam przyrzec, że bez naszej wiedzy nie wprowadzą więcej nikogo do zamku.

Książę oddał Marysi swoje własne łóżko i życzył, żeby w niem spała spokojnie, a zmęczona dziewczynka na wygodnej, ciepłej pościeli przytuliła znużoną główkę do poduszki, złożyła rączki i szepnęła tylko: »O jacyż dobrzy ludzie i zwierzęta!« — i w tej chwili zasnęła.

Nazajutrz księżniczka dała jej prześliczną aksamitną suknię i prosiła bardzo, żeby na zawsze została w pałacu. Ale Marysia poprosiła tylko o wózek i konika, a także o parę bucików, gdyż musiała wędrować dalej i szukać Janka po szerokim świecie.

Więc dostała ciepłe ubranie, buciki i mufkę, a gdy się posiliła, stanęła przed bramą śliczna złocona karetka, zaprzężona w pięknego konia, woźnica i lokaj mieli złote korony na liberji. Sam książę i księżniczka umieścili ją w karecie i żegnali, życząc wszystkiego dobrego. A Marysia płakała, i dobra wrona także. Usiadła obok dziewczynki w karecie i odprowadziła ją prawie trzy mile. Dalej bała się jechać, więc sfrunęła na gałąź wysokiego drzewa i trzepotała skrzydłami tak długo, póki mogła dojrzeć złocistą karetę, błyszczącą w promieniach słońca.

Marysia jechała dalej sama jedna, lecz się nie obawiała głodu, ani zimna, gdyż kareta zaopatrzona była w żywność: stały w niej kosze ciastek, pierników, owoców, — dzielny konik biegł szybko, więc myślała sobie, że chyba teraz musi znaleźć Janka.

V. Mała zbójniczka.

Złocista kareta wjechała do ciemnego lasu i między drzewami świeciła jak słońce. Zobaczyli to rozbójnicy i wybiegli z gęstwiny.

— Złoto! złoto! — krzyczeli i rzucili się na karetę, uchwycili konia za cugle, pozabijali służbę i wyciągnęli na drogę przerażoną Marysię.

— Ach, jaka biała, tłusta, orzeszkami karmiona! — zawołała chciwie stara rozbójnica z rozczochraną głową, strasznemi oczami i żółtą, pomarszczoną twarzą. — Musi być smaczna, jak młode jagniątko, — to będzie dopiero uczta!

Wyciągnęła z za pasa wielki nóż błyszczący i podniosła rękę, aby zabić biedną Marysię, — lecz w tej samej chwili krzyknęła okropnie, gdyż mała rozbójniczka, jej córeczka, którą niosła na plecach, do krwi ugryzła ją w ucho, i bijąc matkę nogami po plecach, krzyczała przeraźliwie.

— Nie dam jej zabić! Nie zabijaj! — wo-

łało dzikie, rozczochrane dziecko. — Ja chcę, żeby się ona ze mną bawiła! Ja chcę jej mufki i ładnej sukienki, i chcę, żeby ze mną spała.

Stara zbójnica pozwalała swojej córeczce na wszystko, więc schowała napowrót nóż na dawne miejsce, otarła ze krwi ucho i umieściła dziką dziewczynkę w karecie razem z Marysią. Potem jeden ze zbójców siadł na koźle, zaciął konia i popędzili jak wiatr po kamieniach, dołach, górach, między drzewami, zaczepiając o gałęzie i nie zważając na nic.

Mała rozbójniczka śmiała się głośno z radości i tupała nogami. Była ona w tym samym wieku. co Marysia, ale większa i tęższa, z dużą czerwoną twarzą, czarnemi włosami i czarnemi, błyszczącemi oczyma. Kiedy nacieszyła się jazdą, objęła wpół Marysię i powiedziała wesoło:

— Nie bój się, nie dam cię zabić, chyba że się na ciebie rozgniewam. Oni muszą mię słuchać! Ty pewno jesteś księżniczka?

— Nie — odrzekła dziewczynka i ze łzami w oczach opowiedziała jej swoją historję: jak bardzo Jasia kocha i pragnie go znaleźć, ale nie wie zupełnie, gdzie go szukać.

Mała zbójniczka słuchała ciekawie, a oczy jej świeciły, jak dwa ognie. W tej chwili powóz stanął, gdyż wjechali na dziedziniec zbójeckiego zamku.

Był to wielki budynek, stary, brudny, odrapany, pełen dziur i szczelin, w których

gnieździły się kruki i wrony. Ogromne buldogi, straszne jak potwory, z otwartemi paszczami, jakby chciały natychmiast rozszarpać i pożreć przybyłych, biegały i skakały po podwórzu, ale żaden nie szczekał, ponieważ to było wzbronione.

W zamku, w olbrzymiej, okopconej sali, o czarnych ścianach i kamiennej podłodze, płonął wielki ogień, a dym kłębami wznosił się do góry, osiadał na suficie i poczerniałych ścianach i dziurami w murze wychodził na zewnątrz. Przy ogniu w dużym kotle gotowała się zupa, a zające i króliki piekły się na rożnach.

— Dziś będziesz spała ze mną i z mojemi zwierzątkami! — rzekła zbójniczka, gdy się obie z Marysią najadły i napiły, a potem poszły do swego kącika, gdzie było posłanie ze słomy, przykryte kobiercami. Nad niemi we framugach i na grzędach gnieździły się stada gołębi, które udawały śpiące, lecz poruszyły się trochę, i każdy jednem okiem spojrzał na dziewczynki.

— To moje leśne gołębie — rzekła rozbójniczka. — Wszystko to moje, co tu wkoło widzisz. — I wzięła w rękę jednego gołębia, potrząsając go i dmuchając, aż zaczął trzepotać skrzydłami.

— A to mój ren kochany — dodała, pokazując ogromnego rena, przywiązanego na sznurze, uczepionym do błyszczącej miedzianej obrączki, którą miał na szyi. — Co wie-

czór udaję, że chcę go zabić moim nożem, a on bardzo się tego boi.

Wyjęła zaraz wielki nóż świecący, wyostrzyła go o ścianę i pociągnęła renowi po szyi. Zwierzę stało spokojnie ze spuszczoną głową.

— Czy ty sypiasz z tym nożem? — spytała z obawą Marysia.

— Zawsze sypiam z nożem w ręku — odparła zbójniczka. — Nikt nie wie, co się może zdarzyć w nocy. A teraz mi opowiedz raz jeszcze historję o małym Janku i o tem, jak go szukasz po szerokim świecie.

I Marysia zaczęła znowu opowiadać. Leśne gołębie słuchały ciekawie, a zbójniczka oparła głowę na kolanach dziewczynki i trzymając nóż w ręku, zasnęła tak mocno, że chrapała, aż się rozlegało. Marysia nie mogła zasnąć; — nie wiedziała przecież, czy jej nie zabiją, a prócz tego przy ognisku w drugim kącie sali zbójcy krzyczeli, śpiewali, pili, przeklinali, a stara rozbójnica podkasała suknie, tańczyła, wykrzykiwala straszne słowa i fikała koziołki.

Okropny to był obraz i Marysia patrzała z przerażeniem.

— Grr! grrr! — zagruchały tymczasem gołębie — widziałyśmy twojego Jasia. Biała kura ciągnęła jego sanki, a on z królową śniegu siedział w wielkich saniach i pędził jak wicher przez las ku północy, kiedy spałyśmy w gniazdach. Królowa śniegu tchnęła

na nas mrozem, i oprócz nas dwojga wszystkie gołębie pomarły. — Grrr! grrr!

— Co wy mówicie? — spytała Marysia. — Jaka królowa śniegu? Czy naprawdę wiecie co o Janku?

— Jechała lasem do krainy lodów, gdzie wiecznie śnieg i zimno i mróz nieustanny. Tam ma swoje królestwo. Spytaj rena.

— Tak, tak — potwierdził ren, wstrząsając głową. — Śnieg i lód, białe pola, wielkie białe pola, lód bez końca, błyszczący i przejrzysty, piękny, wspaniały kraj! Tam na samej północy, na biegunie[1]) jest stolica królowej śniegu, tam jej lodowy pałac, lśniący, jak brylanty, przejrzysty jak kryształ.

— O Jasiu! Jasiu! Jasiu! — zawołała dziewczynka, aż obudziła zbójniczkę, która pogroziła jej pięścią ze złości.

— Będziesz ty cicho! — mruknęła z gniewem — czy chcesz, żebym cię zabiła nożem?

Dopiero gdy dzień się zrobił, opowiedziała Marysia wszystko, co słyszała w nocy, a zbójniczka wysłuchała powieści uważnie i w zamyśleniu potrząsała głową.

— Może — może — szeptała. — Czy to prawda, renie? Czy znasz kraj wiecznych lodów?

— A któż go może znać lepiej ode mnie? — odparł ren z błyszczącemi jak ogień

---

[1]) Biegun — tu oznacza najzimniejsze miejsce na ziemi.

oczyma. — Tam przecież się urodziłem i wyrosłem, tam biegałem po wielkich, śnieżnych polach.

— Słuchaj — rzekła zbójniczka do Marysi — wszyscy nasi ludzie poszli na wyprawę, matka została w domu, ale ona się upije przy śniadaniu i mocno zaśnie. Wtedy będę mogła zrobić coś dla ciebie.

I tak się wszystko stało. Przy śniadaniu stara zbójnica napiła się z wielkiej flaszki i natychmiast usnęła, — wtedy zbójniczka zbliżyła się z nożem do rena i rzekła:

— Lubię cię straszyć, dotykając nożem twojej szyi, dziś jednak zrobię co innego. Oto przetnę twój powróz i wypuszczę cię na wolność, abyś wrócił do kraju wiecznych lodów; ale musisz zanieść tę dziewczynkę do pałacu królowej śniegu, gdzie znajdzie swego Jasia. Wiesz dobrze, o co chodzi, bo wczoraj opowiadała głośno tę historję, a ty lubisz słuchać, co mówią.

Ren podskoczył z radości i gotów był zaraz do drogi. Więc zbójniczka zaczęła ubierać Marysię.

— Masz tu swoje buciki — powiedziała — nie możesz jechać boso, bo zmarzłabyś. Są one bardzo ciepłe, wykładane futrem. Mufki ci nie oddam, ponieważ jest bardzo ładna i ogromnie mi się podoba, ale masz za to wielkie rękawice matki, które ci osłonią ręce aż po łokcie. Włóż je tylko.

Marysia chciała dziękować zbójniczce, lecz rozpłakała się z wielkiej radości.

— Tylko mi nie becz, bo tego nie lubię! — zawołała dzika dziewczynka. — Masz tutaj zamiast siodła wygodną poduszkę, — a żebyś nie była głodna, dam ci na drogę szynkę i dwa bochenki chleba. Wszystko to przymocowałam do rena. I ciebie też przywiążę bardzo mocno, żebyś z niego nie spadła. Tylko mi zaraz miej wesołą minę, bo niecierpię głupich beków.

Posadziła Marysię na poduszce i przywiązała ją mocno do rena, potem drzwi otworzyła, zawołała na buldogi, a gdy weszły do sali, myśląc, że jeść dostaną, przecięła sznur, na którym ren był uwiązany, i zawołała głośno:

— No, teraz w drogę! hop! hop! z całej siły! A pamiętaj sobie, żeby się Marysi co nie stało.

Marysia na pożegnanie wyciągnęła do niej małe rączki w ogromnych rękawicach, a ren ruszył z kopyta i pędził jak huragan przez lasy i pola, płoty, rowy, zarośla, bagniska i stepy, dalej, dalej i dalej...

Wilki wyły, wrony i kruki krakały, na niebie błyszczały gwiazdy, księżyc, słońce, a daleko na północy ukazywało się czerwone światło, pełne dziwnego blasku.

— Widzisz zorzę północną [1]), która pło-

---

[1]) Zorza północna — piękne światło na niebie, które w krajach północnych świeci podczas długich nocy.

nie tam w moim kraju, w kraju wiecznego lodu! — szeptał ren zachwycony, i pędził jeszcze szybciej, dzień i noc bez wytchnienia.

Nakoniec kiedy chleby zostały zjedzone, a z szynki nie pozostało ani śladu, ukazał się przed niemi biały kraj wiecznych lodów.

VI. Laponka i Eskimka.

Zatrzymali się nagle przed niepozornym domkiem. Była to chatka tak nizka, że dach opierał się na ziemi, a drzwi stanowił otwór, przez który mieszkańcy musieli wpełzać do środka na brzuchu. W chatce nie było nikogo, oprócz starej Laponki, która gotowała rybę nad lampą, napełnioną tranem.

Ren opowiedział jej swoją historję, która wydawała mu się najważniejszą, a potem zaczął mówić o Marysi, ponieważ dziewczynka była tak zziębnięta, że sama opowiadać nie mogła.

— Ach, biedaki! — rzekła Laponka, wysłuchawszy wszystkiego uważnie — daleka, bardzo daleka jeszcze przed wami droga, — więcej niż sto mil lecieć musicie na północ, bo tam dopiero, na samym biegunie królowa śniegu ma swój pyszny zamek, w którym zorza północna pali się co wieczór wspaniałymi ogniami. Nie mam w domu papieru, więc na

suszonym sztokfiszu [1]) napiszę wam list do pewnej bardzo mądrej Eskimki, która mieszka niedaleko pałacu królowej i może wam więcej dopomódz ode mnie.

Potem dała Marysi jeść, pić, a gdy dziewczynka posiliła się i ogrzała, Laponka napisała list na suszonym sztokfiszu, oddała go Marysi i kazała dobrze pilnować. Następnie przywiązała ją znowu do rena, a ten szybko puścił się w drogę.

I pędzili znowu na północ bez wytchnienia i odpoczynku. Drogę wskazywały im wspaniałe blaski ogni, płonących w pałacu królowej, które na ciemnem niebie rozlewały się zorzą czerwoną.

Wreszcie stanęli przed chatą Eskimki. Tu drzwi nie było wcale, więc musieli zapukać do komina. Wpuszczono ich niezwłocznie.

Wewnątrz chaty było tak straszne gorąco, że Eskimka, mała, tłusta i bardzo brudna kobiecina, chodziła w lekkiej sukni. Zaraz też rozwiązała Marysi jej sukienkę, zdjęła jej buciki i ciepłe rękawice, a renowi położyła na głowie kawał lodu, gdyż inaczej nie mogliby tu wytrzymać.

Potem wzięła rybę i zaczęła czytać list Laponki.

Przeczytała go raz i drugi i zamyśliła się głęboko. Ren zbliżył się do niej i mówił z prośbą w głosie.

---

[1]) Sztokfisz — ryba morska.

— Wiem, że jesteś bardzo mądra i masz wielką władzę, że rozkazujesz wiatrom, które są ci posłuszne, daj więc Marysi takiego napoju, żeby była silniejsza od dwunastu mężczyzn i mogła pokonać królowę śniegu.

— Siłę dwunastu mężczyzn! — powtórzyła Eskimka, z uśmiechem kiwając głową. — Na cóżby się to zdało? Czyż królowę śniegu pokona siła dwunastu mężczyzn?

Potem wzięła z półki duży kawał zwiniętej skóry, rozłożyła ją z wielką uwagą, i patrzała na dziwaczne znaki i litery, które ją pokrywały, z takiem natężeniem, że grube krople potu wystąpiły jej na czoło.

Ren kręcił się koło niej bezustannie, potrącał ją rogami, ocierał się bokiem i patrzał w oczy błagalnie, aż Eskimka zaprowadziła go wreszcie do kąta, a kładąc mu na głowie świeży kawał lodu, szepnęła bardzo cicho:

— Janek jest naprawdę u królowej śniegu, ale jemu tam dobrze. Zdaje mu się, że jest w najpiękniejszym kraju, i że mu nigdzie lepiej być nie może. Wszystko to stąd pochodzi, że drobne okruszyny czarodziejskiego zwierciadła utkwiły mu w oku i w sercu. A dopóki tkwić tam będą, nikt go nie uratuje, bo królowa śniegu ma nad nim władzę i może zatrzymać go gwałtem. A zresztą choćby i wrócił do ludzi, to będzie dla nich obcy, bo nic dla nich nie ma: nie potrafi nawet być wdzięcznym Marysi za jej miłość i poświęcenie.

— Więc cóż począć? — rzekł ren strapiony.

— Trzeba go uleczyć, trzeba wyjąć mu z serca i z oka szczątki czarodziejskiego zwierciadła.

— A jak to zrobić?

— Nie wiem. To nie moja sprawa.

— Więc nie chcesz pomódz Marysi? Nie możesz jej dać żadnej władzy?

— Zmiłuj się, renie, powiedz, cóż ja jej więcej dać mogę nad tę władzę, jaką sama już posiada. Czyż nie widzisz jej siły i potęgi? Czyż nie widzisz, że ludzie i zwierzęta służą jej i wypełniają jej wolę? Czyż nie widzisz, że bosa i uboga, pół świata już przebyła, a wszyscy jej pomagają, i nic się jej oprzeć nie może? Takiej władzy my jej nie damy. Takiej władzy nie może dać jej nikt na świecie, i od nas ona jej nie potrzebuje, bo ma źródło potęgi we własnem swem sercu, a tem źródłem jest dobroć, miłość i niewinność. Jeśli te trzy złote klucze nie otworzą przed nią pałacu królowej śniegu i nie ocalą Janka, to my także uczynić tego nie zdołamy.

— A teraz słuchaj jeszcze, co ci powiem. O dwie mile stąd zaczyna się ogród królowej. Tam zaniesiesz dziewczynkę i zostawisz ją przy dużym krzaku, który stoi na śniegu, okryty czerwonemi jagodami. Ale już z nią nie rozmawiaj i wracaj tu co prędzej.

Eskimka posadziła Marysię na renie,

przywiązała ją dobrze, a poczciwe zwierzę pomknęło natychmiast.

— Ach, moje buciki! moje rękawice! — zawołała Marysia, gdy mróz ostry owiał jej bose nożyny i zatamował prawie oddech w piersi.

Ale ren nie śmiał wrócić, ani się zatrzymać, i biegł naprzód, co miał siły, aż stanął na granicy ogrodu królowej, przy wielkim krzaku, okrytym czerwonemi jagodami.

Tu zsadził Marysię na ziemię i pocałował ją w usta, a z oczu popłynęły mu łzy wielkie.

Potem zawrócił i znów biegł przed siebie, wcale się nie oglądając.

A biedna Marysia została na śniegu, sama jedna, bosa, bez rękawic i bucików, wśród wichru i strasznego mrozu.

Zaczęła biedz naprzód, jak mogła najprędzej. Ale natychmiast zastąpił jej drogę cały tłum płatków śnieżnych. Nie spadały one z nieba, gdyż niebo było jasne i pogodne, oświetlone płonącą zorzą, lecz unosiły się nizko nad ziemią i powiększały coraz bardziej w miarę, jak zbliżały się ku niej.

Wtedy przypomniało się dziewczynce, jak oglądała z Jankiem płatki śniegu przez szkło powiększające. Tamte jednak były inne i nie takie wielkie. Te wyglądały strasznie, jak żywe istoty: były to rzeczywiście przednie straże królowej śniegu. Ich postaci były dziwaczne i groźne: niby ogromne, białe i kol-

czaste jeże, — to kłęby żmij i wężów o syczących paszczach, — to niby małe, grube niedźwiedziątka o nastroszonej sierści. A wszystkie białe, lekkie, świecące, ruchliwe, budzące strach brzydotą i wstręt tem, że żywe, a przecież to płatki śniegu!

Dziwne, szkaradne wojsko.

Marysia w trwodze zaczęła się modlić. Ale mróz był tak wielki, iż własny jej oddech, wychodząc z ust, stawał się dla niej widzialny, zmieniał się w gęstą parę i otaczał ją jakby obłokiem. I nagle w tym obłoku ujrzała małych aniołków, które krążyły koło niej, spuszczały się ku ziemi, a gdy jej dotknęły, rosły szybko i otaczały ją jak groźne wojsko. Każdy miał hełm na głowie, w ręku tarczę i włócznię.

Było ich coraz więcej, a kiedy Marysia skończyła pacierz, już otaczał ją cały legjon tego cudownego wojska. Teraz rozpoczął się bój z potwornemi płatkami śniegu. Wojsko anielskie rąbało i siekło na drobne szczątki szkaradne istoty, które zaczęły cofać się w popłochu, i Marysia biedz mogła prędzej, bez przeszkody. Aniołkowie głaskali jej nóżki i ręce, i nie czuła już mrozu, aż stanęła przed samym pałacem królowej.

A tymczasem zobaczmy, co tam robił Janek. O Marysi nie myślał wcale i nie przypuszczał, że stoi w śniegu przed pałacem.

VII. W pałacu królowej śniegu.

Ściany pałacu były z olbrzymich zasp śnieżnych, w których wichry wywierciły drzwi i okna. Przeszło sto sal znajdowało się w tym gmachu, a największa miała kilka mil długości. Oświetlała je piękna zorza, kładąc na białym śniegu czerwone i żółte blaski, — to też w wielkich komnatach było pusto, cicho, jasno i mroźno.

Nigdy w tej białej, olbrzymiej przestrzeni nie słyszano śmiechu ani wesołego głosu, nie było tu nigdy rozgłośnej zabawy, choć północne niedźwiadki i inne stworzenia mogły wyprawiać najświetniejsze bale w takich wspaniałych salach, przy muzyce wichru. Nie wchodziły tu jednak nigdy, — nigdy! W pałacu królowej śniegu było pusto i zawsze cicho. Cicho codziennie o jednej godzinie zapalała się zorza, a następnie gasła, — cicho błyszczały białe, śnieżne ściany, cicho leżało w środku wielkie lodowe jezioro. Przejrzysty lód spękany był w tysiąc kawałków, ale wszystkie były podobne do siebie, zupełnie jednakowe. A na środku jeziora, na wysokim lodowym tronie, siedziała królowa śniegu, gdy gościła w swojem królestwie.

Mały Janek był siny z zimna, prawie czarny, ale nie wiedział o tem i nie czuł wcale chłodu, gdyż królowa śniegu zamroziła pocałunkami nawet dreszcze w jego ciele, a serce

jego stało się kawałkiem lodu. Biały, zimny, śnieżny pałac wydawał mu się najwspanialszem królestwem na świecie, z podziwem patrzał na wysoki tron lodowy i bawił się u stóp jego, układając z kawałków lodu wszystko, co mu się tylko podobało. Tak właśnie dzieci bawią się klockami, budując wieże i przeróżne gmachy. Jasiowi klocków nie zabrakło nigdy; były przejrzyste, o ostrych krawędziach, zimne i jednakowe; mógł je układać całe życie w rozmaite figury, litery, desenie, a wszystko, co ułożył, wydawało mu się mądrem i doskonałem, i nic w tem nie chciał zmienić ani zepsuć.

Więc były na lodzie kwadraty, trójkąty, liczby i wyrazy: śnieg, jezioro, królowa i bardzo wiele innych, nie mógł tylko ułożyć wyrazu »kocham«, choć królowa mu powiedziała:

— Jeżeli zdołasz ułożyć ten wyraz, będziesz wolny, a ja daruję ci cały świat i nowe łyżwy.

Więc Janek pragnął bardzo złożyć dziwne słowo, a nie umiał. On, taki mądry, nie wiedział, jak zacząć.

Tymczasem ciepły wiatr wionął z południa, i królowa śniegu wstała z wysokiego tronu.

— Muszę spieszyć do ciepłych krajów — powiedziała — trzeba znowu nakryć moje czarne garnki. (To znaczyło: wulkany). Po-

bielę im trochę głowy, a cytryny i winogrona poumierają na ten widok.

I zniknęła w tumanach śniegu.

Janek sam został w olbrzymiej, pustej sali. Zrobił sobie z kawałków lodu wygodne siedzenie, usiadł, patrzał na ułożone przed sobą litery, milczał, myślał i siedział nieruchomy, sztywny, zimny i siny, jak zmarźnięty.

Wtedy właśnie Marysia weszła do pałacu. Ostry wicher z przeciągłym jękiem rzucił się ku niej, aby ją zatrzymać, ale zaczęła modlić się goręcej, i wiatr ucichł i przypadł spokojnie ku ziemi, jak gdyby kładł się do snu.

Marysia weszła do olbrzymiej sali, pustej, białej i cichej. Nagle zobaczyła Janka. Poznała go natychmiast. Z okrzykiem radości podbiegła ku niemu, obie ręce zarzuciła mu na szyję i mocno przyciskając go do serca, wołała uradowana:

— Janku! kochany Jasiu! znalazłam cię przecież!

Lecz Janek siedział cichy, sztywny, nieruchomy — a taki zimny!

Marysia wybuchnęła płaczem. Jej łzy gorące padały mu na piersi, przenikały do serca, roztopiły lodową bryłę i spłukały z niej okruszynę czarodziejskiego zwierciadła, które było przyczyną całego nieszczęścia.

I nagle serce zabiło mu mocniej, zimny dreszcz przebiegł ciało, zdumiony, podniósł oczy na Marysię, a ona zaczęła śpiewać:

Co ja kocham na tym świecie?
Złote słonko, jasne kwiecie!
Boże ptaszki śpiewające...

A kiedy wymówiła słowa: — Wszystko kocham serca biciem, a przestanę chyba z życiem! — Janek przypomniał sobie nagle krzaczek róży, dom, rodziców, babkę, Marysię i wszystko, co się stało, i zrobiło mu się tak smutno, tak smutno w tej wielkiej, białej, pustej, strasznej sali, że wybuchnął ogromnym płaczem, a ze łzami spłynął natychmiast i drugi okruch szkła czarodziejskiego, który mu utkwił w oku.

Wówczas dopiero poznał naprawdę Marysię, i wydała mu się tak piękną, jak dawniej, i uczuł, że ją kocha tak mocno, jak dawniej, i aż krzyknął z radości i objął ją także rękami, i ściskali się serdecznie oboje, płacząc i śmiejąc się razem ze szczęścia.

Po raz pierwszy w białym pałacu, u stóp tronu królowej śniegu rozległy się nieznane tu głosy wesela; to też zdumione lodowe jezioro pękać zaczęło z wielkiego podziwu, a kawałeczki lodu, dotąd nieruchome, kręciły się w szalonym tańcu, podskakując i uderzając o siebie, aż zmęczone, upadły znowu i same ułożyły się w ten dziwny wyraz, za który Janek miał otrzymać wolność, świat cały i nowe łyżwy.

W pałacu królowej śniegu, na lodowem jeziorze, u stóp wysokiego lodowego tronu,

jaśniał w blaskach zorzy północnej nieznany tu, tajemniczy wyraz:

»K o c h a m«.

A dzieci stały przy nim uśmiechnięte, opromienione złotem i różowem światłem. Marysia pocałowała Janka w twarz, i sina twarz jego stała się rumianą, — pocałowała go w oczy, i stały się znowu jasne i błyszczące — całowała mu ręce i stały się silne, — całowała mu nogi, i utraciły sztywność i stały się zdrowe, i Janek powstał z lodowego krzesla, raźny, zdrów, silny i dobry, jak niegdyś.

Teraz mogła powrócić i królowa śniegu: był zupełnie wolny! Wolność jego jaśniała u stóp wysokiego tronu tajemniczym wyrazem w blaskach północnej zorzy.

Dzieci wzięły się za ręce i wyszły z okropnego pałacu. Rozmawiały o domu, rodzicach i babce, o kwiatach na dachu i o krzaczku róży, a kędy się zwróciły, uciszały się wiatry, i słońce wychylało się z ciemnych obłoków.

Gdy stanęły przy krzaku z czerwonemi jagodami, zastały tam dwa reny: stary ren przyprowadził towarzysza. Dobre zwierzęta zaniosły Marysię i Janka najpierw do starej Eskimki, gdzie dzieci wygrzały się w gorącej izbie, a następnie do Laponki, która przygotowała im na drogę nowe suknie i opowiedziała, którędy iść mają.

Oba reny odprowadziły dzieci do granicy swojego kraju i pożegnały tam, gdzie zniknęły

śniegi, a ziemię i lasy okrywała świeża zieloność.

— Bądźcie zdrowi! — Bądźcie zdrowe! — powiedziały sobie nawzajem.

W powietrzu zaświergotały małe ptaszki, las zaszemrał młodemi listeczkami, i na małym, ślicznym koniku wyjechała z pomiędzy drzew jakaś dziewczynka w czerwonej czapeczce i z pistoletami za pasem.

Była to mała zbójniczka na kucyku, którego Marysia dostała od księżniczki wraz ze złocistą karetą.

Marysia i zbójniczka poznały się natychmiast i wydały okrzyk radości.

— Znalazłaś Janka! — wołała ucieszona zbójniczka.

— Powracamy do domu! — odpowiedziała szczęśliwa Marysia. — Dziękujemy ci za wszystko, — chciałabym podziękować też księżniczce, wronie i krukowi.

— Księżniczka wyjechała w daleką podróż.

— A wrona?

— Wrona nie żyje. Kruk nosi po niej żałobę.

— Pozdrów go od nas — rzekła ze smutkiem Marysia.

— Bądźcie zdrowi! — rzekła zbójniczka i serdecznie uściskała małych wędrowników.

A dzieci szły, trzymając się za ręce i rozmawiając o tem, co kochały. Dokoła nich budziła się ze snu młoda wiosna, na niebie jaśniało słońce, na łąkach pachniały kwiaty, na

polach kołysały się zielone fale zboża, las szumiał, świergotały ptaki.

Tak zbliżyły się do wielkiego miasta. Dzwony odezwały się z wieży kościelnej, i dzieci poznały głos ten dobrze znany. I poznały ulice, domy, sklepy, bramy.

Ściskając się za ręce, biegły do swego domu, po znanych schodach, na znane poddasze, do izdebki, gdzie upłynęło im dzieciństwo.

Nic się tu nie zmieniło: sprzęty stały na swojem miejscu, na zegarze posuwały się wskazówki, a wahadło biegało w tę i ową stronę, powtarzając tym samym jednostajnym głosem: tik! tak!

Wchodząc we drzwi, zauważyły dopiero, jak urosły w przeciągu tego czasu. A tam przy oknie stały ich małe krzesełka! Babunia siedziała na starym fotelu i modliła się z książki, a słońce oblewało złotym blaskiem jej siwą głowę.

Jak tu ślicznie, jak jasno, jak wesoło!

O pałacu królowej śniegu zapomnieli. Usiedli znowu na małych stołeczkach, jak dawniej, i spojrzeli na drewnianą skrzynkę, w której rosły powoje i groszki pachnące. Na krzaczkach róż rozwinęły się prześliczne kwiaty i zdawały się uśmiechać do nich, nachylając różane główki w stronę okna.

A dzieci zaśpiewały razem:

Co ja kocham na tym świecie?
Złote słonko, cudne kwiecie!

Boże ptaszki śpiewające,
Jasne rosy, w kwiatach drżące,
Błękit nieba i obłoki,
Cały piękny świat szeroki,
I chatynkę pobielaną,
I mateńkę ukochaną!
Wszystko kocham serca biciem,
A przestanę chyba z życiem!

BIBLJOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

		kop.
1.	**Anczyc Wł. L.** Żółw i Makolągwa, powiastka	6
2.	**Amicis E.** Moi koledzy	10
3.	— Mały patrjota	6
4.	**Chrząszczewska J.** Szare kaczątko. — Duże i Małe . .	8
5.	— Królestwo grzybów. — Tocia	6
6.	— Bal u pani Żaby — Czarodziejska kukułka . . .	8
7.	**Andersen H.** Historja roku. — Dziewczynka z zapałkami	6
8.	— Brzydkie kaczątko	6
9.	— Ropucha. — Krasnoludek	6
10.	**Niewiadomska C.** Za późno	6
11.	— Lat temu 900	6
12.	— Słoneczko. — Na świeżem sianku	6
13.	**Kipling R.** Bracia Mowgliego	6
14.	— Rikki-tikki-tavi	6
15.	**Zaleska M. J.** Obłoczek. — Przygody rodziny Jeżów .	5
16.	— Wędrówka Celinki. — Wieszczka okruszyn . . .	6
17.	— Wojtuś. — Michałek. — Podejrzenie.	6
18.	**Daudet.** Oblężenie Berlina	6
19.	— Koza ojca Bartłomieja. — Ze wspomnień kuropatwy	6
20.	**Kraszewski J. I.** Królewicz Bolko	5
21.	**Niewiadomska C.** Wnuczka Kazimierza	5
22.	**Sienkiewicz H.** Pod Zbarażem (z pow. «Ogniem i Mieczem»)	12
23.	**Teresa Jadwiga.** Rycerz Błękitny	10
24.	— Słowianie: uroczystości i obrzędy	6
25.	— Bolesław Chrobry	6
26.	**Bukowiecka Z.** Zalew kopalni	6
27.	— Legendy górnicze	6
28.	**Warnkówna J.** Wędrówka kwiatów	5
29.	— Na łące — Amator jajecznicy	6
30.	**Weryhówna M.** Sierota. — Nad Wisłą. — Sikoreczka .	5
31.	**Szymanowska Z.** Bez. — Scyzoryk. — Biczyk — Sukienka	6
32.	— Niewidomy. — Kraszanki	5
33.	— Rodzina królików. — Muszka i pająk	5
34.	**Jachowicz St.** Bajki i wiersze (wybór)	8
35.	**Chęciński Jan.** Wybór wierszyków	6
36.	**Niewiadomska C.** Bardzo dawno. — Królestwo skał . .	5
37.	— Przyjaciółki. — Waluś	6
38.	— Bez przewodnika	8
39.	**Lenartowicz T.** Zachwycenie	4
40.	**Kondratowicz L.** (Wł. Syrokomla). Janko Cmentarnik .	6

BIBLJOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

kr.

41. **Gawalewicz M.** Królowa niebios. Legendy o M. Boskiej
42. **Morawska Z.** Koronacja Zygmunta Augusta . . . . .
43. **Lenartowicz T.** Wybór poezji . . . .
44. **Kondratowicz L.** (Wł. Syrokomla). Wybór poezji . . . 10
45. **Hoffmanowa Klem.** Wybór powiastek 8
46. — Dziennik Franciszki Krasińskiej 20
47. — Listy Elżbiety Rzeczyckiej . . . .
48. **Chrząszczewska Jadwiga.** Upał. — Sosna . . . .
49. **Krakowowa Paulina.** Wybór powiastek . . . .
50. **Andersen H.** Kwiaty Idalki . . . .
51. — Coś. — Len . . . .
52. — Cień. — Śpiewak z pod strzechy . . . .
53. **Amicis E.** Na tonącym okręcie. — W szpitalu . . . .
54. — Od Apeninów do Andów . . . .
55. **Kipling R.** Kot, który chodził własnemi drogami. — Słoniątko . . . .
56. — Ankus królewski . . . .
57. — Toomai od słoni . . . .
58. **Asnyk A.** Wybór poezji . . . .
59. **Ujejski K.** Wybór poezji . . . .
60. **Anczyc Wł. L.** Daleka podróż dwóch piesków pokojowych 5
61. — Świerszcz. — Błędne ogniki . . . .
62. — Rozbitki na wyspie Jan Mayen . . . .
63. **Zaleska M. J.** Cztery prządki. — Robotnicy P. Jakóba .
64. — Gwiazdka. — Najlepsza zabawa . . . .
65. — Wiewiórka. — Pogrzeb szczura . . . .
66. **Teresa Jadwiga.** Stacho 10
67. — Pogrzeb ostatniego Jagiellona. — Elekcya . . .
68. **Sienkiewicz H.** Pod Grunwaldem. (Ustęp z Krzyżaków)
69. — Zdobycie Kamieńca. (Ustęp z Pana Wołodyjowskiego) . . . .
70. **Niewiadomska C.** Z życia Mickiewicza 6
71. — Dotrzymuj słowa. — Kolędzy. — Samolub . . .
72. — Noc sierpniowa . . . .
73. **Daudet A.** Napad szarańczy 6
74. **Andersen H.** Królowa śniegu 8
75. — Matka. — Anioł. — Sosna . . . .
76. **Zaleska M. J.** Wesele zięby . . . .
77. **Zaleski Józef Bohdan.** Wybór poezji . . . .
78. **Pol Wincenty.** Pieśń o ziemi naszej . . . .
79. **Wasilewski Edmund.** Wybór poezji . . . .
80. **Sienkiewicz H.** Jurand ze Spychowa. (Z Krzyżaków) .